

Kursy dla analfabetów

Po rozpoczęciu roku szkolnego 1950/51 w Cierzniach dostaliśmy polecenie z Wydziału Oświaty w Człuchowie, aby zorganizować tzw. kurs dla analfabetów. Sołtys wsi powiadomił, że dnia 25 października br. wieczorem o godz. 18-tej jest spotkanie wszystkich mieszkańców wsi w wieku od 16-tu do 60-ciu lat, którzy nie umieją czytać i pisać. Na to spotkanie przyjechał z Wydziału Oświaty w Człuchowie pełnomocnik do walki z analfabetyzmem.

Poinformował on zebranych, że wszyscy mieszkańcy wsi w określonym wieku muszą obowiązkowo uczęszczać na kurs wieczorowy, na którym się nauczą czytać i pisać. Że władza ludowa troszczy się o swych obywateli stwarzając im warunki do nauki. Ustalono na tym spotkaniu, że zajęcia będą się odbywać wieczorem trzy razy w tygodniu po trzy godziny. Nauka się rozpocznie po pierwszym listopada i trwać będzie do końca marca następnego roku.

Każdy kursant otrzyma specjalnie napisany podręcznik do języka polskiego i matematyki. Owe podręczniki były trochę zbliżone do podręczników z klasy pierwszej i drugiej szkoły podstawowej. Nie wszyscy jednak przyszli. Około ¼ zobligowanych nie przyszła. Trzeba było chodzić od domu do domu tych, co nie przyszli a byli w przedziale wiekowym 16-60 lat. Razem z sołtysem chodziłem wieczorami, aby ich spisać. Były przypadki, że niektórzy mówili że mają ukończone 4 klasy szkoły podstawowej. Proszono ich wtedy o okazanie świadectwa szkolnego. Jeżeli nie okazali wówczas proszono ich o przeczytanie z podręcznika języka polskiego do 3-ej klasy fragment tekstu i napisali jedno zdanie, które podyktowałem, np. „Mieszkam we wsi Cierznie pow. Człuchów”. Jednak w wyniku takiego podejścia niektórzy mówili, że mają słaby wzrok i małych liter i cyfr nie widzą. Pytałem ich wtedy o tabliczkę mnożenia. Sprawa się wydała w 6-ciu przypadkach, że chcieli zataić fakt, że nie umieją pisać i czytać. Pod koniec kursu sami się przyznali do faktu zatajenia, że nie umieją czytać i pisać. Dlatego tak postąpili, bo wstydzieli się tego, że są analfabetami. Były to osoby przeważnie w wieku 50-ciu lat.

Na kurs musieli uczęszczać tzw. autochtoni, czyli mieszkańcy wsi, którzy zostali na gospodarstwach swych po zakończeniu II wojny światowej. Wprawdzie oni umieli czytać i pisać, ale w języku niemieckim. Przeważnie mieli ukończoną szkołę podstawową, a niewiasty dodatkowo jeszcze szkołę gospodarstwa wiejskiego tzw. Land Schule. Władza zdecydowała, że muszą ukończyć kurs,

przy którym nauczą się trochę języka polskiego. Były cztery takie przypadki. Im nauka nie sprawiała kłopotu. Natomiast nieznanostwo języka polskiego tak.

Na kurs uczęszczało ponad 50 osób w różnym wieku. Nigdy nie było 100% frekwencji. Jedynie wszyscy zjawili się na egzaminie, gdyż każdy chciał mieć świadectwo ukończenia kursu.

Nauka szła im dosyć ciężko w początkowej fazie, gdyż nie znali liter i nie umieli ich pisać. Młodszy uczestnicy dosyć dobrze przyswajali sobie wiedzę. Starsi mieli kłopoty z nazwą liter, a szczególnie z ich pisaniem. Byli też tacy, którzy bardzo szybko przyswajali wiedzę. Ci chętnie uczęszczałi na kurs. Systematycznie wykonywali zadania domowe. Oni osiągnęli najlepsze wyniki nauczania. Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden kursant, który miał około 60-ciu lat. Nie mógł on zapamiętać litery „g” i „y”. Co ja nie wymyślałem, aby mu pomóc. Pytałem jakie ma ptactwo domowe w gospodarstwie. Chciałem na zasadzie skrajzeń mu pomóc. Zapytałem czy ma gęsi. Odpowiedział, że ma duże stado. Tłumaczę mu, że ten ptak rozpoczyna swą nazwę od litery „g”. Skutek był taki, że na literę g mówił gęś. Jednak po dwóch tygodniach nazwał ją prawidłowo. Był dumny z tego, że zapamiętał tą literę, która mu sprawiała tyle kłopotu.

Gorzej było z literą „y”. Byłem cierpliwy Czekalem, aż zaczniemy składać litery w sylaby i wyrazy. Tak też się stało. Z początkiem grudnia umiał ją już nazywać. Od tego czasu regularnie uczęszczał na zajęcia. Stwierdził, że mimo wieku jaki ma, można się czegoś nauczyć.

Najgorzej było z pisaniem liter. Młodszy szybciej opanowali w poprawny sposób tę umiejętność. Starsi mieli z tym kłopoty, choć w ich elementarzach były litery i wyrazy pisane. Każdy, kto miał kłopoty z napisaniem litery był proszony do tablicy i z pomocą nauczyciela ćwiczył pisanie. Dość często prowadzono rękę kursanta, aby prawidłowo napisał dany znak. Niejednokrotnie powtarzano tę czynność kilka razy, aż do skutku.

Powstał nowy problem, kiedy zaczęliśmy pisać litery drukowane. Całe szczęście, że tych liter jest niewiele. Np. inaczej wygląda litera „a” drukowana a inaczej pisana, podobnie „b” drukowane i pisane. Nowy problem dla kursantów to dwu znaki „sz, cz, rz ch, dź” oraz spółgłoski „ś, ć, ż, ą, ę” Pocięszalem ich jak mogłem, aby byli wytrwali, gdyż stopniowo czynić będą postępy. Szło to niektórym bardzo opornie.

Dużo czasu poświęcałem na głośne czytanie przez pojedynczych kursantów i czytanie grupowe. Chodziło o to, aby prawidłowo wymawiali poszczególne głoski, sylaby i wyrazy oraz czytali ze zrozumieniem.

Z matematyką było dużo lepiej. Oni nazywali ten przedmiot „rachunki”. Początkowo większość kursantów liczyła na palcach. Ci bardziej inteligentni chowali ręce do tyłu i tak sobie liczyli po swojemu. Gorzej było z zapisywaniem dziesiątek, setek i tysięcy. Jednak powoli to zrozumieli. Był też problem z odejmowaniem, tzw. pożyczaniem. Dla niektórych ta droga trwała dłużej. Jednak ją pokonywali i to było dla nich nagrodą.

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad tym, jak to brak upowszechnienia oświaty pozbawia ludzi odpowiedniego komunikowania się ze sobą. Nie daje im możliwości korzystania z wiedzy zawartej w piśmiennictwie. Zresztą sami kursanci dawali do zrozumienia, że oni zazdroszczą tym, co umieją biegle czytać i pisać. Czuli się gorszymi ludźmi. Było im bardzo ciężko funkcjonować w codziennym życiu. Byli bezradni, kiedy otrzymywali pisma urzędowe.

Niejednokrotnie otrzymywali listy od rodziny i znajomych. Wówczas musieli pójść do tzw. piśmiennego, aby ten przeczytał pismo i niejednokrotnie napisał odpowiedź. Jeżeli „piśmienny” był plotkarzem, to wkrótce cała wieś wiedziała o pewnych tajemnicach analfabety. Czasami na tym tle dochodziło do waśni. Dlatego duży nacisk kładłem na czytanie i pisanie ze zrozumieniem. Każdy kursant musiał się nauczyć napisać swój krótki życiorys, list i podanie do urzędu. Bez tej umiejętności nie mógł zaliczyć kursu i dostać świadectwa jego ukończenia.

Ponieważ kursanci swoistą zbieraninę grup etnicznych i w dużej części mówili gwara, to i tak też próbowali pisać. Dużo było ludzi „z za Buga”, a także Kaszubów i Ukraińców oraz przybyszów z Wileńszczyzny, Małopolski, lubelskiego i poznańskiego. Nieraz ich nie rozumiałem jak mówili swą gwara. Zrobiłem dyktando pod koniec kursu, kiedy już umieli pisać. Specjalnie użyłem wyrazów takich, które fonetycznie brzmią inaczej niż w pisowni. Chyba, że się je wyraźnie wymawia. Były to wyrazy: chleb, twarz, brzoza, gęś, góra, grzyb, ząb. Błędy jakie popełniali w pisaniu były następujące: chleb – chlep, hlep, chlip; twarz – twasz, tważ; brzoza – bzoza; gęś – genś, guś; góra – gura; grzyb – gzyb, gżyp; ząb – zomb, zomp.

Byłem tym zjawiskiem przerażony. Jednak wszystko przecież sprowadzało się do tego, że oni mają się nauczyć tylko czytać i pisać oraz liczyć w niewielkim zakresie. Jednak zwróciłem im uwagę, że są zasady w języku polskim, których należy przestrzegać. W dyskusji mówili, że po co zasady, które wprowadzają tylko bałagan. Powinno być tak, że jak się słyszy tak się pisze. Podałem im przykład, że w wyrazie chleb pisze się na jego końcu literę „b” bo w odmianie nie słyszemy chlepa tylko chleba, nie bołą mnie zępy tylko zęby, itd.

Dzieci, które chodziły do szkoły, a ich rodzice uczęszczali na kurs dla analfabetów, były zobowiązane, aby pomagać rodzicom w nauce. W praktyce dawało to dobre efekty. Nadszedł czas egzaminu, wszyscy się stawili, co do jednego. Komisja, która była powołana przez pełnomocnika do spraw walki z analfabetyzmem, składała się z przewodniczącego, niekoniecznie z danej szkoły, w której odbywał się kurs oraz nauczycieli lub nauczyciela uczącego. Jeżeli była to jednoklasówka, to do komisji wchodził sołtys danej wsi.

Egzamin wypadł dość dobrze. Wszyscy otrzymali świadectwa ukończenia kursu. Było dwóch kursantów, którym napisanie życiorysu i podania słabo wypadło. Ponieważ byli to ludzie około 60-ki komisja uznała, że oni też dostaną świadectwa ukończenia kursu.

Śledziłem losy niektórych kursantów i muszę przyznać, że ponad 10 osób z tych kursantów dalej uczęszczało do szkoły wieczorowej dla pracujących. Mało tego, ukończyło ją po dwóch latach. Z uwagi na to, że przenieśliem się do innej miejscowości pow. człuchowskiego, nie mogłem śledzić ich dalszych losów.

Kurs dla analfabetów we wsi Rozwory

Po zorganizowaniu i otwarciu szkoły jednoklasowej w Rozworach pow. Człuchów 1 września 1951 r. dostałem pismo od pełnomocnika do walki z analfabetyzmem Wydziału Oświaty w Człuchowie, że mam zorganizować kurs dla analfabetów z dniem 1 listopada 1951 r.

Kurs ten ma trwać do końca marca 1952 r. Ustalono, że sołtys wsi zrobi spis osób od 14-go do 60-go roku życia, które nie umieją czytać i pisać. Taki wykaz otrzymałem. Na pierwszym spotkaniu omówiłem cały harmonogram zajęć szkolnych. Poinformowałem, że każdy kursant otrzyma bezpłatnie potrzebne książki do nauki. Kursantów było około 35-ciu. Muszę przyznać, że od początku wykazywali oni większy zapał do nauki. Szczególnie młodzi wiekiem pragnęli się nauczyć nie tylko pisać i czytać czy „rachunków”, ale czegoś więcej. Także pragnęli poznać historię Polski oraz elementy geografii i przyrody. Byłem kawalerem, więc mogłem poświęcić im wiele czasu.

Korzystając z doświadczeń poprzedniego kursu lepiej mogłem wczuć się w sytuację tych ludzi.

Nauczanie odbywało się przy lampach naftowych, gdyż nie było elektryczności. W przerwie między lekcjami kursanci mówili, że dwa lata temu była ekipa, która elektryfikowała wieś. To znacząco pociągnęła linię niskiego napięcia. W domach pozakładali instalację elektryczną. Brakło tylko transformatora. Po paru dniach napisałem pismo do gazety „Głos Koszaliński”, że taka to miejscowość Rozwory czeka już ponad dwa lata na transformator i nie może się do czekać. Efekt był taki, że po miesiącu przyjechała komisja i dokonała lustracji. Na skutek interwencji w połowie grudnia 1951 r. zainstalowano transformator i zabłysło we wsi światło elektryczne. Wszyscy mieszkańcy wsi bardzo się cieszyli, a ja zyskałem na autorytecie.

Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden z kursantów, który zamiast trzy razy w tygodniu, przychodził do mnie częściej. Organizowałem dodatkowe zajęcia na jego prośbę. Był bardzo zdolnym uczniem, więc zgodziłem się by go douczać, przekraczając znacznie program kursu. Jaki on był szczęśliwy tego nie jestem w stanie opisać. Jego żona miała skończone cztery klasy szkoły podstawowej więc on koniecznie chciał jej dorównać. Widocznie bardzo ją kochał, bo zawsze miłe o niej mówił. Sam często wspominał, że każdą wolną chwilę przeznacza na naukę. Dość szybko nauczył się pisać i czytać. Dobrze opanował cztery działania z „rachunków”. Opanował też cztery działania na ułamkach zwykłych w stopniu dobrym; także trochę geografii, przyrody, historii Polski i geometrii.

Prawie wszyscy kursanci regularnie uczęszczali na zajęcia, a wspomniany młody rolnik stanowił dobry przykład dla pozostałych. Często stawiałem go innym za wzór. Niektórzy próbowali pójść w jego ślady, lecz nie zawsze wystarczało im zapału.

W tej miejscowości było kilka grup etnicznych, które w dużej części używały swoich dialektów. Sporo było osadników wojskowych „z za Buga” i po kilka rodzin z innych regionów Polski. Tworzyli oni zwartą grupę społeczną. Pochodzili przeważnie z okręgu wileńskiego. Kursanci pochodzący z tamtego rejonu używali słów rosyjskich i mówili z wyraźnym akcentem rosyjskim.

Powoli czas mijał i trzeba było przystąpić do egzaminu. Na egzaminie trzeba było napisać własny życiorys oraz podania do gminnej rady narodowej o umorzenie podatku za pierwszy kwartał 1952 r. Podanie to należało uzasadnić. Ponieważ wiele razy to ćwiczyliśmy, więc dosyć dobrze to wypadło. Z „rachunków” było proste zadanie dotyczące wyliczenia należności ze sprzedanych trzech tuczników, a drugie zadanie dotyczyło kupna artykułów żywnościowych.

Pełnomocnik uczestniczący w egzaminie był zadowolony z wyników. Oceniał, iż inne kursy stały na o wiele niższym poziomie. Wszyscy zdali egzamin i otrzymali świadectwo ukończenia kursu dla. Panowała wielka radość wśród kursantów. Kiedy patrzyłem na ich radość i zachowanie, uświadomiłem sobie jacy oni muszą być szczęśliwi. Mówili, że już nikt nie będzie się z nich naśmiewał, że nie umieją pisać i czytać. Ten kurs otworzył im okno na świat. Przy rozdaniu świadectw życzyłem im, aby nie zapomnieli o czytaniu książek, gazet i pisaniu listów; by nie zapomnieli tego, czego ich nauczyłem.

Drugiego dnia po egzaminie przyszedł do mnie wieczorem kursant, którego uczyłem dodatkowo. Specjalnie mi podziękował za naukę. Wyraził to tak jak umiał, swoimi słowami: „To pan mi otworzył okno na świat. Dziś sam umiem pisać i czytać dość biegle. Samodzielnie czytam książki i gazety, także zonie, która ma cztery klasy szkoły podstawowej. Nie jestem już upokorzony tym, że nie umiałem się należycie podpisać”. Mówił to wszystko ze łzami w oczach. Żał mi się go zrobiło, że taki zdolny człowiek i się marnuje. Zachęcałem go, aby dalej sam się uczył i aby wykorzystał możliwości ukończenia szkoły podstawową dla pracujących. Takie szkoły wieczorowe organizowane były w pełnych szkołach siedmioklasowych. Życzyłem mu dużo szczęścia i spełnienia marzeń. Przy rozstaniu powiedział mi, że on nigdy nie zapomni tego, co mu dałem. Swoje dzieci będzie uczył i pilnował, aby ukończyły szkołę średnią. W owych czasach ten, kto miał maturę był w środowisku wiejskim kimś – „uczonym”.

Nic więc dziwnego, że na wsi zapał do nauki był duży. Z uwagi na to, że przenieśliśmy się do szkoły odległej od tej placówki, nie mogłem śledzić dalszych losów owego kursanta.

Zrozumiałem, że dzieci ze środowiska wiejskiego wymagają większej opieki oświatowej szkolnej i pozaszkolnej oraz, że ich perspektywy jak i przyszłość naszego kraju zależą w dużym stopniu od ich wiedzy i wykształcenia. Realizacji tej idei starałem się służyć przez całe moje życie.